

Janina Repelewska-Pękalowa

Kazimierz Pękała

Uniwersytet im. Marii Curie-Skłodowskiej

Instytut Nauk o Ziemi

Zakład Geomorfologii

20-033 Lublin, ul. Akademicka 19

JAK POWSTAŁA BAZA LUBELSKICH WYPRAW SPITSBERGEŃSKICH

O organizowaniu samodzielnych wypraw na Spitsbergen myślało się w lubelskim ośrodku uniwersyteckim już od początku lat osiemdziesiątych, ale stało się to realne dopiero w 1986 roku. Opracowano program interdyscyplinarnych badań środowiska naturalnego, który miał być realizowany podczas trzech (1986—1988) sezonów letnich. Przeważała w nim problematyka związana z naukami o Ziemi, co było oczywiste, jeśli wziąć pod uwagę, że miały to być wyprawy firmowane przez Instytut Nauk o Ziemi Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej, przy współudziale Instytutu Geologii Podstawowej Uniwersytetu Warszawskiego.

Jednak nie o naukowych aspektach wyprawy ma tu być przecież mowa, ale o stworzeniu bazy, bez której niepodobna się obyć, pracując w terenie przez okres kilku miesięcy.

Organizacji Wypraw podjął się Kazimierz Pękała, który niezbędne kwalifikacje i szlify zdobył uczestnicząc w latach 1973—1983 w kilku wyprawach na Spitsbergen. Zapadła decyzja, że badania będą prowadzone w rejonie południowego Bellsundu (NW część Ziemi Wedela Jarlsberga), z główną bazą w Calypsobyen na zachodnim wybrzeżu fiordu Recherche. Wybór obszaru badań był podyktowany chęcią włączenia nowych terenów do polskiej mapy eksploracji Svalbardu.

Rozpoczęło się zbieranie informacji o tym miejscu wśród polarników, którzy przed laty penetrowali tamte okolice. Nieocenioną giełdę wiadomości stanowiły jak zwykle Sympozja Polarne. Z rozmów i wspomnień, zwłaszcza kolegów ze Szczecina i Sosnowca, zaczął się wyłaniać, dość mgliście, obraz osady górniczej Calypsobyen. Osada ta powstała w pierwszym dziesięcioleciu XX wieku, gdy znana na Spitsbergenie z różnych, przeważnie nieudanych inwestycji, angielska spółka „The Northern Exploration Company Ltd” otworzyła tu kopalnię węgla. Pomimo braku kompletnych informacji o stanie budynków w osadzie, zapadła decyzja o ulokowaniu tam bazy głównej. Trzeba było jeszcze uzyskać stosowne pozwolenie z Biura Gubernatora Svalbardu.

Należy tu wyjaśnić, że program wypraw przewidywał prowadzenie badań w trzech sezonach letnich (1986—1988), w grupach liczących po kilkanaście osób. Każdy, kto uczestniczył w przygotowaniach wypraw wie, że oznacza to konieczność posiadania ogromnej ilości rozmaitego ekwipunku i żywności. A wszystko powinno być zebrane, dowieszone, rozłokowane i zabezpieczone przed zniszczeniem, co pociąga za sobą potrzebę dysponowania odpowiednio dużą powierzchnią. Niestety, opowieści przygodnych bywalców osady Calypso nie pozwalały na dokładną ocenę możliwości zakwaterowania w niej i funkcjonowania wyprawy. Wiadomo było tylko, że istnieje tam kilka budynków drewnianych, które już po ustaniu działalności górniczej były wykorzystywane przez traperów aż do 1971 r. Później całe to osiedle stało się skansenem.

Nadeszło oczekiwane z niecierpliwością pismo od Gubernatora Svalbardu, w którym, z życzliwością udzielając pozwolenia na korzystanie z zabudowań w Calypsobyen zawarł informację, iż w jednym z domów jest wygodne miejsce dla 3 (trzech!) osób. Informacja ta była nieco bulwersująca, jeśli wziąć upod uwagę planowaną liczebność zespołów. Gromadzono więc, oprócz niezbędnego wyposażenia gospodarczego, technicznego i aparaturowego Wyprawy, także i materiały budowlane, które miały służyć do ewentualnych remontów i adaptacji budynków. Na kilka tygodni przed wyruszeniem wyprawy główne wejście do budynku Wydziału BiNoZ przy Akademickiej 19 zdołała dość nietypowa dla tego miejsca dekoracja, którą tworzyły: rolki papy, deski specjalnie przycięte do różnych formatów, zgrabnie uformowane w wiązki, pojemniki i skrzynie, a w nich wszystko to co mogłoby się w tej sytuacji tam przydać — przygotowane do odprawy celnej i dalekiej podróży. Transport wyposażenia i żywności miał się odbyć statkiem „Koral”, wspólnie z Wyprawą Centralną Instytutu Geofizyki PAN, natomiast uczestnicy wyprawy wraz z bagażem osobistym, bronią i radiostacją mieli dostać się na Spitsbergen drogą lotniczą.

W dniu 24 czerwca 1986 r. I Wyprawa Polarna UMCS wyruszyła na Spitsbergen drogą lotniczą z Warszawy do Moskwy i już następnego dnia samolotem „Aeroflotu” przez Murmańsk do Longyearbyen. Stąd, helikopterem Trestu „Arktikugol” do Barentsburga. Po kilkudniowym tam pobycie, wreszcie rankiem 2 lipca 1986 r. nastąpił odlot do Bellsundu. Warunki atmosferyczne były bardzo dobre więc po dość krótkim przelocie skrótem nad górami, osiągnięto fiord Recherche. Można już było, tymczasem z powietrza, rozpocząć lustrację terenu. Zobaczyliśmy odosobniony mały domek w pobliżu wylotu dolinki, kilka zabudowań różnej wielkości na plaży i na stoku, podłogę pozostałą po nieistniejącym już domku oraz dość duży dom na płaskiej powierzchni znacznie powyżej poziomu plaży. Z góry wyglądało, że właśnie to miejsce będzie tym, którego szukaliśmy, a zarazem było obok niego dobre miejsce do lądowania dla obydwu helikopterów. Przyzwyczajeni i wytrenowani już podczas

całej podróży do licznych załadunków i rozładunków jako amatorski ale sprawny zespół desantowy — bardzo szybko opuściliśmy helikopter i niebawem już osłanialiśmy troskliwie cały dobytek przed silnym powiewem towarzyszącym startowi i odlotowi helikopterów. Cała ta akcja trwała kilka minut.

Z miejsca lądowania roztaczał się piękny widok na lodowce i fiordy Van Keulen, Van Mijen i Recherche oraz na równinę, na której w oddali widać było pasące się stado reniferów. Rozpoczęliśmy penetrację terenu. Niestety, budynek obok którego wylądowaliśmy, z ogromnym żelaznym masztem powalonym obok wejścia, był — jak się okazało — bardzo zniszczony i trudno byłoby w nim zamieszkać. Nieco dalej przylepione do stoku, jakby zrosnięte ze sobą dwa drewniane baraki straszły wyglądem: puste otwory okienne, brak drzwi, dziury w dachu i w ścianach. Wewnątrz resztki ścianek działowych, pełno śniegu i ostry zapach stajni pozwalający sądzić, że rezydowały tu zapewne renifery. Obiekt po uporządkowaniu mógł w ostateczności nadawać się na magazyn.

W pobliżu, u podstawy stoku stał niewielki, zgrabny domek z przybudówkami traperskimi. Dach miał dziurawy, ściany zewnętrzne w dobrym stanie, chociaż okna bez szyb. Toteż w obydwu jego niewielkich izbach leżał nawiany śnieg, a góra lodu podniosła podłogę.

Wyposażenie stanowiły różne zdezelowane rzeczy codziennego użytku: połamane meble i składane łóżka, jakieś garnki, paki, deski, przerdzewiałe rury i stary żeliwny piec, który miał drzwiczki z miką. Domek zbyt mały do zamieszkania, ale po wyremontowaniu, uporządkowaniu, osuszeniu oraz przede wszystkim po wytopieniu pagórka lodowego pod podłogą — nadawał się do użytku.

W odległości około 150 m stał jeszcze jeden, dość duży barak, usytuowany bezpośrednio na plaży prostopadle do linii brzegowej. Wchodziło się do niego po schodkach. Bardzo porządne wejście z solidnymi drzwiami. W środku barak podzielony był na kilka pomieszczeń. Na obydwu krańcach znajdowały się dwa niewielkie pokoje w stylu traperskim, oddzielone przestrzenią o szerokości baraku. Wygląd i wyposażenie jednego z małych pokoi całkowicie szokował: dwa okna z widokiem na wschód i na północ, piętrowa prycza z materacami, ława, a na niej karimata, stół z piękną zieloną naftową lampą, kuchnia, stolik pod oknem, szafka — w niej trochę naczyń i garnków oraz czajnik z wydrapanym napisem „Sysselmannen”, a w wiszącej szafce — wiktuały: kawa, cukier, konserwy, dużo przypraw (ze szczególnym uwzględnieniem cynamonu), a także piękne papierowe ręczniki, środki czystości, świece i zapalki. Bez wątpienia — właśnie to jest owo miejsce dla trzech osób, o którym była mowa w piśmie Gubernatora. Ale przecież ten pokój stanowił fragment dużego baraku, który przedstawiał się ogólnie nieźle, chociaż szpary w ścianach, brak szyb w oknach, a w dachu i podłodze — dziury. Decyzja

była oczywista: pozostajemy w tym budynku. Stało więc przed uczestnikami Wyprawy ambitne zadanie doprowadzenia baraku do stanu, któryby gwarantował odpowiednie warunki bytowania dla kilkunastu osób, przez trzy letnie sezony.

Ale od czego zapał i pomysłowość? Należało zaprząć do pracy wyobraźnię godną Robinsona Cruzo i doświadczeń pionierów—osadników. Realizacja na dużą skalę dziecięcych zabaw „w dom”. Szybko powstała koncepcja odpowiedniej adaptacji, takiej, by jednakże nie zmienić niczego w wyglądzie zewnętrznym budynków i układzie pomieszczeń oraz doprowadzić do dobrego stanu wszystko, co miało charakter zabytkowy, ponieważ cała osada jest traktowana przez Norwegów jako skansen.

Należało przede wszystkim odpowiednio się rozlokować. Mały „sysselmański” pokój początkowo był nie tylko sypialnią dla żeńskiej części Wyprawy, ale ponadto do wspólnego użytku: kuchnią, łazienką, pralnią i suszarnią bielizny i przemokniętej odzieży. Dzięki temu temperatura powietrza dochodziła tam momentami do 30°C i był to prawdziwy tropik polarny. Cóż, cena komfortu. Drugi pokój traperski zajął duet: krókoławiec — czyli nasze „radio” wraz z meteorologiem, gdyż panowie ci pracowali w dość przedziwnych porach wyznaczanych przez terminy obserwacji oraz warunki dobrej propagacji, co w praktyce oznaczało zaburzenia ich dobowego rytmu pracy i wypoczynku. Reszta ekipy postanowiła stworzyć sobie przytulną sypialnię na stryszkach. Wchodziło się do tej „sypialni dla nietoperzy” — po drabinie. Było tu ciepło i ... ciemno, co w warunkach nieustannej jasności polarnego dnia było szczególną zaletą.

W centralnej części baraku wydzielono miejsce do pracy, spożywania posiłków no i ewentualnej recepcji. Ustawiono tu dwa duże zabytkowe stoły z ławami, przy których wygodnie mogło usiąść kilkanaście osób. Powstał także — jak się to teraz mówi — aneks kuchenny. Pozwalało to dyżurnym przygotowywać i serwować posiłki oraz zmywać naczynia nie tracąc kontaktu wzrokowego i słuchowego z resztą biesiadników.

Ściany tego wielofunkcyjnego pomieszczenia stanowiły bardzo dobre miejsce do rozwieszenia map, a także dubeltówek i raketnic. Na krańcu baraku, w pobliżu drugich drzwi wyjściowych, wygospodarowano nawet miejsce na łazienkę, w której rolę prysznicza miała spełniać hydronetka z pożyczonym od konewki ogrodowej sitkiem, przezornie przywiezionym z kraju.

Wypożyczenie budynku mieszkalnego pochodziło z różnych miejsc, gdzie znajdowano przedmioty porzucone od niepamiętnych czasów. Niebawem udało się skompletować niezbędne sprzęty, wprawdzie sfatygowane i wymagające napraw, ale jednak prawdziwe. Były stoły i ławy. Znalazł się też mebel dość tu nieoczekiwany — sekretarzyk z półeczkami i szufladą, który zajął honorowe miejsce w głównym pomieszczeniu.

Po wizji lokalnej zostały określone funkcje pozostałych zabudowań „wioski Calypso”. W dwu sąsiednich, połączonych ze sobą barakach miał być magazyn żywności oraz pomieszczenie dla meteorologa i jego sprzętu. Trzeci, niewielki, najstarszy, dwuizbowy budynek miał pełnić funkcję laboratorium hydrologicznego, miejsca dla segregacji i obróbki prób. Szopa oddalona od budynków przeznaczona została na magazyn sprzętu pływającego. Obok była też niewielka toaleta. Nastął czas Wielkich Porządków. W ruch poszły znalezione (i przywiezione) młotki, gwoździe, szczotki. Równocześnie odbywało się szorowanie stołów i ław, wprawianie szyb (czasem zamiast nich — plastikowych worków), łatanie dachu, likwidacja dziur w podłodze i ścianach. Radość tworzenia i ciężka praca całego zespołu. Towarzyszył temu ogromny entuzjazm. Odkrywanie przy okazji różnych własnych nieznanych wcześniej talentów. Okazało się, że są wśród nas bardzo zdolni drwale, cieśle, szklarze, zduni, stolarze, dekoratorzy wnętrz no i kilku... urodzonych dowódców.

W ciągu tych pierwszych kilku dni nieważne były wyuczone zawody i ambitne plany naukowe podboju Arktyki. Należało przede wszystkim tworzyć miejsce, gdzie się wypoczywa i pracuje, do którego się wraca, naszą bazę. Dom.

Czas większych remontów mógł nastąpić dopiero po przyplynięciu statku, który transportował zapasy żywności, a ponadto łodzie, silniki, agregat prądotwórczy i paliwo, wyposażenie stacji meteo, kuchnię, no i co było bardzo ważne — materiały budowlane. To wszystko należało przeładować ze statku na łódki, dowieźć, rozładować i rozmieścić w przygotowanych w pierwszych dniach pobytu pomieszczeniach.

Dalsze dni były przede wszystkim wypełnione pracą związaną z realizacją naukowych celów wyprawy. Ale w dalszym ciągu, systematycznie część czasu była poświęcona gospodarczym czynnościom w bazie i wokół niej. Podobnie jak w normalnym domu, gdzie zawsze jest coś do zrobienia. Tutaj towarzyszyła temu świadomość, że będzie się do Calypso wracało, jako że zaplanowano wyprawy na okres trzech kolejnych sezonów letnich.

Rzeczywistość przerosła nasze pierwotne zamierzenia. Zamiast trzech planowanych sezonów ekspedycje UMCS spędziły tu kolejnych kilkanaście. I każda z grup dokładała swój trud do wspólnego dzieła tworzenia domu — bazy. Rezultaty tego były naprawdę satysfakcjonujące.

Z dumą oprowadzano po bazie i całej „wiosce” Calypso przybywających tu zaproszonych i przygodnych gości. Wiadomo też, że niejednokrotnie inni znajdowali tu schronienie w różnych porach roku — co jest normalnością na Spitsbergenie.

Poczas tworzenia tego naszego domu doznaliśmy także życzliwości i pomocy ze strony władz Svalbardu. Wspólnym wysiłkiem Calypsobyen stało się funkcjonalnym i atrakcyjnym miejscem badań naukowych w rejonie południowego Bellsundu.